

Krzysztof Pisera: Droga ku Tatom

Wyjazd do Zakopanego był poważnym przedsięwzięciem, bo tak należy nazwać dwudniową, wyczerpującą podróż, z całym wyposażeniem niezbędnym w czasie dłuższego pobytu w tej wsi. Niektórzy goście na wiele dni wcześniej starannie przygotowywali się do wypoczynku pod Tatrami – pisze Krzysztof Pisera w książce „Jak dawniej chadzano po Tatrach”, której fragment publikujemy w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Tatry. Narkotyk inteligenta”.

Z nadejściem lata rozpoczyna się w miastach wędrówka, to do kąpiel, to gdzieś na wieś; [...] potrzebujący wytchnienia umysłowego, o ile znają się na wartości powietrza górskiego, ruszają w Tatry.

Tak pisał w 1880 roku Walery Eljasz, który od dwudziestu lat, prawie każdego roku, przemierzał trakt wiodący ku Tatom. W owych pionierskich czasach dotarcie do Zakopanego nie było wcale łatwą sprawą. Wieś położona gdzieś na „końcu świata” nie miała żadnego połączenia kolejowego z miastami Galicji, a jedynym, powszechnie stosowanym środkiem transportu był prymitywny wóz konny.

Wyjazd do Zakopanego był poważnym przedsięwzięciem, bo tak należy nazwać dwudniową, wyczerpującą podróż, z całym wyposażeniem niezbędnym w czasie dłuższego pobytu w tej wsi. Niektórzy goście na

wiele dni wcześniej starannie przygotowywali się do wypoczynku pod Tatrami. Jeden ze stałych bywalców Zakopanego, Władysław Ludwik Anczyc zanotował:

Gromadziłem skrzętnie wszystkie opisy Tatr, począwszy od *Dziennika Goszczyńskiego*, aż do *Przewodnika* Eliasza. Czytaliśmy je skrzętnie, robili notatki, układali wycieczki przyszłe i zawczasu już cieszyliśmy się wrażeniami, jakie na nas wywrze ta czarowna kraina. W ostatnich dniach czerwca, szczęśliwym trafem, spotkałem w mieście gazdę zakopańskiego, Wojciecha Jaczaka [...]. On nam dopełnił wiadomości zaczerpniętych z książek.

Nie można było jednak na sielance żyć samymi wrażeniami, należało jeść i pić oraz stawiać czoła nieoczekiwanym sytuacjom, a to wymagało dodatkowego wyposażenia:

Wypada tu nadmienić, że kto wybiera się na dłuższy pobyt do Zakopanego, powinien zabrać z sobą samowar, maszynkę do kawy, szklanki, łyżeczki, poduszki, kołdry i ciepłe ubranie, nieodzowne przy tutejszym zmiennym klimacie. Kto zaś nie chce stołować się w restauracyi, ale gotować w domu, winien przywieźć kucharkę, rondelki, patelnię, moździerz, noże, widelce, łyżki i talerze. [...] zabrać należy także perspektywę, potrzeby do pisania, przyrządy do szycia, szczotki, lusterka i najpotrzebniejsze lekarstwa. Mężczyźni palący winni zaopatrzyć się w tytoń i cygara, wszyscy zaś w drobną zdawkową monetę, bo tutaj o nią bardzo trudno i nie-raz dla jej braku trzeba się wyrzec kupna. Kto wreszcie tam wyjeżdża, a chce obeznać się ze wszelkimi potrzebami jaknajdokładniej, dowiedzieć się o wycieczkach i sposobie ich odbywania, niechaj kupi

Illustrowany przewodnik do Tatr, Pienin i Szczawnicy Walerego Eliasza, wyszły u J.K. Żupańskiego, w Poznaniu, książkę bardzo praktycznie napisaną i dającą szczegółowe a cenne i niezbędne wskazówki.

Rzeczywiście praca ta była nieocenionym źródłem rad dla ówczesnych turystów. Korzystało z niej wielu amatorów podróży do Zakopanego, o czym pisze Stanisław Ciechanowski, wspominając przygotowania do wyjazdu swego stryja:

Wyekwipował się też stryj w Tatry najściślej według rad Eljasza; w jednym z alkierzy domu wisiał cały zbiorek niezmiernie mocnych trzewików męskich i żeńskich, liczne egzemplarze salami jako najtrwalszej wędliny, przerozmaita ciepła odzież; w kącie cały komplet „kijów alpejskich”. [...] Nie brakło oczywiście w inwentarzu tatrzańskim stryja niczego z dziwnej mieszanki, jaką w swym Przewodniku wyliczał poczciwy Eljasz: „zapałki, zapas bielizny na zmianę w razie przemoczenia, kasze rozmaite, świece, cukier, mydło, ciepłe skarpety”, itd., itd. [...]

Zrozumiałym jest, że zupełnie inne potrzeby miały wyjeżdżające z rodzicami dzieci:

Dla nas chłopców najważniejszą jednak była mała skrzyneczka, zawierająca mnóstwo niezbędnych „na wakacje” przedmiotów. A więc były tam „koziki” czerwone i zielone, [...] ogromny zapas wędek i haków „na ryby”, krzesiwka z krzemieniem i hubką do

rozpalania ognia na wycieczkach. Dalej łuki i strzały oraz długie żelazne szydła – dzidy, których można (i trzeba) użyć w razie napadu zbójców, o co przecież w Tatrach nie trudno.

Po zakończeniu przygotowań niecierpliwie oczekiwano na wyjazd. Ten następował zazwyczaj z Krakowa, który do *podróży w Tatry dla całej Polski jest punktem zbornym, a ostatniem miejscem w dostawie wszelkich potrzeb i wygód cywilizowanego świata.*

W sezonie letnim góralskie furki wynająć można było na Kleparzu albo na Kazimierzu u Podhalan przywożących do Krakowa wyroby żelazne z Kuźnic:

Takich wózków góralskich odszukać można łatwo w Krakowie w dnie targowe, na których górale w lecie z samego Zakopanego, dostawiwszy żelaza lub odwiózłszy kogo, napowrót ubiegają się, aby gości zabrać [...]. O taką góralską okazyją z Zakopanego najlepiej się dowiadywać w Krakowie na Kazimierzu u Frölicha, kupca żelaza, którego skład hurtowy zasilają kuźnice Zakopiańskie.

Osoby przybywające spoza terenu Galicji, starały się o wóz poprzez hotelowego faktora, który był pośrednikiem wyszukującym górala gotowego zawieźć gościa do Zakopanego. Za swoją usługę pobierał odpowiednią opłatę, przez co podróż stawała się droższa. Niższe ceny obowiązywały obywateli krakowskich:

Mieszkaniec Krakowa, obchodzący się bez pomocy faktora, płaci za dwukonną krytą brykę 11 do 13 guldenów, oraz rogatek i to za umyślnie sprowadzoną z Zakopanego – obcy płaci 18, 20 i 25, z czego faktor trzecią część zabiera. Obecnie zawiązane Stowarzyszenie tatrzańskie, [...] zajmie się w przyszłości ułatwieniem przybyszom, zwłaszcza też członkom swoim, starania o furmanki.

Aby nie płacić za podróż zbyt dużo, dobrze było osobiście udać się na Kleparz, na główny plac przed Hotelem Lwowskim i *nie dając poznać że się nie jest z Krakowa, starać się ugodzić górala wedle ceny podanej*. Po dokonaniu transakcji wyznaczano dzień wyjazdu. Podróżnicy wybierający się do Zakopanego mieli do wyboru kilka tras, różniących się długością i komfortem jazdy.

Już na początku lat pięćdziesiątych XIX wieku archeolog i historyk Józef Aleksander Łepkowski, zamieścił w krakowskim „Czasie” *króciuchny przewodnik, marszrutę dla chcących zwiedzić Tatry. Podróż, jak pisał, można odbyć w ten sposób, aby dla różnaitości jechać tam inną, a wracać inną okolicą*. Autor polecał dwie drogi. Pierwszą można było jechać przez Mogilany, Myślenice, Lubień i Klikuszową do Nowego Targu, druga od Lubnia prowadziła przez Mszanę, Tymbark i Limanową do Nowego Sącza, *z kąd na Stary Sącz, Łącko i Krościenko do Szczawnicy, Czorsztyna i Pionin*. Obie wymienione trasy Łepkowski uważał za równie wygodne, choć druga była o dzień dłuższa.

Na miejsce noclegów radził wybrać: Lubień, Limanową, Nowy Targ, Stary Sącz bądź Szczawnicę.

Ta ostatnia już w latach czterdziestych XIX wieku była znaną i licznie odwiedzaną miejscowością „kąpielową”. Bawiący w niej kuracjusze korzystając z okazji, często udawali się do Zakopanego i zwiedzali Tatry. Barwny opis przygotowań do takiej podróży podaje przyrodnik i literat Bohdan Dyakowski. W roku 1884, wraz z przygodnie poznanym letnikiem, ze względów oszczędnościowych wybrał się w Tatry... na piechotę. Wędrowcy bardzo sumiennie przygotowali się do czekającej ich drogi:

Ekwipunek zresztą mało co się różnił od codziennego chodzenia w Szczawnicy: zwykły miejski garnitur, złożony z marynarki, kamizelki i długich spodni, a na to okrycie długie do kolan, zwane po krakowsku zarzutką, a po warszawsku – sakpaltem albo krótko sakiem. [...] Ekwipunku dopełniały: nieduży węzełek z jedzeniem, przerzucony na taśmie przez ramię, laska z drewnianą siekierką w ręku i mocno podniszczone zwykłe miejskie trzewiki na nogach, o podszwach domagających się gwałtownie podzelowania.

Skoro świt podróżnicy ruszyli w drogę. Trasa wiodła przez Krościenko, Czorsztyn, Niedzicę i Oszturnię, leżącą po stronie węgierskiej. W tej ostatniej miejscowości postanowili przenocować co, jak się okazało, nie było wcale łatwą sprawą:

Zaczepliśmy o nocleg jednego ze spotkanych gospodarzy, ale ten nie chce nas przyjąć i radzi udać się na plebanie do księdzowej [żony popa – K.P.] [...] Księdzowa przyjęła nas dość podejrzliwie: widocznie nie była przyzwyczajona do widoku turystów i wzięła nas za jakichś obieżyświatów, których lepiej nie wpuszczać na noc do

domu. Odmówiła więc nam noclegu, tłumacząc się nieobecnością męża. Ostatecznie przenocowaliśmy w karczmie żydowskiej, zresztą wcale porządnej i niedrogiej.

Nazajutrz turyści kontynuowali podróż i w południe weszli z *pewnym strachem do groźnej Jaworzyny Spiskiej, gdzie się mieścił Zarząd dóbr księcia Hohenlohego, właściciela ogromnych obszarów tej części Tatr.* Obawy Dyakowskiego były w pewnym stopniu uzasadnione, do miejscowości tej bowiem *strażnicy leśni odstawiali nieszczęśliwych turystów, schwytanych na terenach, po których chodzenie było wzbronione, żeby nie płoszyć zwierzyny, ochranianej dla książęcych polowań.* Jednak tym razem wędrowcy bez przeszkód sforsowali Białkę i udali się w kierunku Morskiego Oka, celu swej wyprawy.

Od lat sześćdziesiątych XIX wieku największy ruch panował na liczącej 17 mil austriackich trasie łączącej bezpośrednio Kraków z Zakopanem. Podróż po tej wyboistej drodze nie należała do przyjemności, *wydaje się bowiem gładką i dobrą niby szosę, tymczasem tak jest chrzpowata, iż zdolną jest połamać kości ciekawych podróżnych.* Dyskomfort jazdy potęgował prymitywizm góralskich furek, które tak opisał Walery Eljasz:

Do wsiadania nie bywało żadnego z boku otworu; włąziło się do środka z przodu. Obręcze ladajakie, krzywe i niskie, trzymały się z przyczepioną na nich płachtą tak, że sobie goście głowy o nie zbijali; tylko wyjątkowe kapelusze, miękkie, dawały się utrzymać w całości. Siedziało się wewnątrz wozu na wiązkach siana, w lepszym razie ze słomy, przykrytych derką; co kawałek drogi, trzeba było stawać dla poprawiania siedzeń, gdyż się przez trzęsienie dolegały

nieznośnie. Płachta pojedyncza, zwykle dziurawa, chroniła tylko od słońca, bo deszcz przepuszczała. Podwójnych lejców górale nie znali, przez co kierowanie końmi było utrudnione, a tem samem trafiały się częściej wypadki najechania lub wywrócenia z wozem. Przy jeździe na dół, ówczesny hamulec sznurkowy nie wie– le dawał bezpieczeństwa. Pierwsze lejce podwójne sprawił góralom ś. p. Chałubiński, którzy z nim jeździli, pierwsze zaś wyściełane kanapki, wiszące we wozie na rzemieniach, ja ufundowałem; niezadługo rozpowszechniły się w całej okolicy wśród furmaniących górali.

Inny z ówczesnych podróżnych dodawał, że *stopnie i resory należą w nich do przyszłości, więc zęby ognia dają, a grube płótno sprawia, że w pogodę jest w nich duszno, a w deszcz się moknie.*

Niewątpliwym przełomem w sposobie podróżowania do Zakopanego było otwarcie w 1884 roku linii kolejowej z Krakowa do Chabówki. Droga uległa znacznemu skróceniu i już po kilku godzinach jazdy pociąg docierał do stacji końcowej:

Ledwie uspokoiły się ostatnie drgania wstrzymanych nagle osi i ucichł zgrzyt buforów i łańcuchów, już z całego pociągu zaczęły się sypać kosze, koszyki, kobiałki, troczki, paczki, poduszki, kufry – dzieci, kobiety, mężczyźni.[...] Zamęt, warchoł i krzyki, w których można odróżnić wszystkie akcenty od Dniepru po Wartę.

Na stacji kolejowej oczekiwali na podróżnych górale:

Uśmiechają się oni uprzejmie, witają jak dawni znajomi, przypominają sobie nazwiska lub udają, że znają naszych przyjaciół. [...] po chwili zaczynają oni latać gorączkowo, dźwigać kufry i kosze [...] biegać po peronie i ginąć razem z tłumokami w głębi ciemnego przejścia. [...] Po drugiej stronie stacji dwu- i jednokonne wozy tłoczą się jak stado ptaków tulących do siebie duże, białe grzbiety, ociążnione płótnem. Pod nie wciska się właśnie cały ładunek rzeczy i ludzi wyrzuconych przez pociąg [...]. Wozy połąkły wszystko i ociążały, kolejno odrywają się od stada, wyciągają się długim szeregiem jak klucz żurawi i zaczynają się wznosić ku szczytowi Obidowej.

Pozostałą krótką trasę z Chabówki do Zakopanego pokonywano już nowszymi, udoskonalonymi środkami transportu, wozy bowiem miały:

[...] wejście [...] ze schodkami z obydwóch stron, obręcze porządne i wysokie, dobrze płachtą obszyte, pod nimi bezpiecznie zmieszczą się panie w najmodniejszych kapeluszach. Płachty bywają gęste i podwójne, deszczu nie przepuszczają; siedzenia wygodne, wyściełane, na sprężynach, z obkładami po bokach, i bezpieczeństwo większe przy jeździe na dół, bo hamulec korbką żelazną się naciąga.

Powróćmy jednak do czasów, gdy całą trasę z Krakowa do Zakopanego pokonywano niewygodną, góralską furką. Uciążliwa i długa droga zmuszała turystów do zarządzania częstych przerw w podróży.

Zatrzymywano się w Mogilanach lub Myślenicach, gdzie spożywano posiłki. Pod wieczór wozy docierały do Lubnia, który dla ówczesnych podróżnych był krańcem cywilizowanego świata:

Na wsi Lubień kończy się dolina Raby, a z nią okolica urodzajna i zbożowa; poza Lubieniem rozpoczyna się pas dzikich, pustych i nagich wyżyn, świat prawdziwie górski [...]. Tu również zegnać się trzeba z cywilizacją, bo przejechawszy wieś Lubień, gdzie w porządnym zajeździe można mieć wygodny nocleg, dostać dobrej herbaty, smacznie zgotowanego obiadu, nie prędko spotkasz się z łóżkiem, z rosołem, z wyściełanym stołkiem, a nade wszystko z jakąś uprzejmością i odblaskiem oświaty jaśniejącą twarzą.

Niestety, gospoda zazwyczaj była przepełniona, a wędrowcy musieli korzystać z pomieszczeń zastępczych. *Nie tylko izdebki gościnne i szynkownia, ale nawet stryżek był zajęty. Kilka pań nie mogąc pomieścić się w karczmie, nocowało w stajni 26* – zanotował przejeżdżający tędy Michał Bałucki. W Lubniu poszukiwał noclegu także Stanisław Barabasz, który wraz z przyjacielem udał się po raz pierwszy do Zakopanego w 1877 roku:

Mijamy Mogilany, skąd zjeżdżamy na łeb ku Myślenicom a wieczorem dojeżdżamy do Lubnia. Tam wesoło, w karczmie gra muzyka, bo ówczesny właściciel zajazdu wyuczył synów grać i rzną we czterech aż się dusza raduje. Przed karczmą stoi moc furek góralskich, powracających z jarmarku, a wszyscy się cisną do okien, aby posłuchać muzyki. W zajeździe były pokoje dla przyjezdnych gości, schludne i czyste, w których nieraz później nocowałem, ale wtedy skromna nasza kasa nie pozwalała na taki zbytek.

Podróżni zmuszeni byli wyruszyć w dalszą drogę, w poszukiwaniu noclegu bardziej odpowiedniego do ich niezbyt zasobnych portfeli:

W nocy skręcamy z dobrego gościńca na jakieś karkołomne drogi, o jakich my mieszcuchy nie mieliśmy pojęcia, podziwiałem spryt konika i niefrasobliwość górala, aby w nocy puszczać się takimi wertepami. Wreszcie stajemy przed jakąś karczmą, dobijamy się do okna, wychodzi zaspany żyd, z którym góral coś pogadał, wchodzimy do izby do straszego zaduchu przy kopczącej lampce. Pobudzone muchy zaczęły brzęczeć nam koło uszu. Góral gdzieś odjechał. Pytamy żyda, gdzie będziemy spać. – Ny, gdzie panowie zechcą, można na ławie, można i na stole. Hm, nieźle, ale trudno. Układamy się więc na twardej ławie. Chcąc, aby trochę usnąć, gasimy lampkę, Ale spać niepodobna, całe stada głodnych pcheł rzuciły się na nas [...]. Kręcimy się, drapiemy i klniemy na czym świat stoi, wreszcie wynosimy się na pole.

Za Lubniem droga mozolnie wspiwała się pod górę, a podróż stawała się coraz bardziej powolna. Turyści często zsiadali z wozu, co wspomina Bałucki, podróżujący z przygodnie poznanymi osobami: *ponieważ wózki leniwo ciągły się pod stromą górę, zaproponowałem towarzyszkom podróży spacer piechotą. Chętnie zgodziły się na to. Nawet tatko wygramolił się z budki dla komocji, jak mówił. Jedna tylko guwernantka jako osoba cierpiąca nie ruszyła się z miejsca.* Po trzymilowym podjeździe docierano na wierzchołek góry Luboń, która była *progiem do tatrzańskiej krainy*. Stała tu karczma żydowska, nie mająca zbyt dobrej opinii wśród ówczesnych podróżnych. Jedna z przejeżdżających tędy kobiet zanotowała:

Oto spostrzegam karczmę pustszą, uboższą, smutniejszą i więcej zaniedbaną od wszystkich karczem w kraju naszym, i słyszę od moich towarzyszków podróży [...] że w niej nic a nic do jedzenia nie dostanie. Wchodzę do izby gościnnej: pusta i smutna straszliwie, zaglądam do gospodarskiego mieszkania, jeszcze okropniej wygląda. Żyd z niemiecka ubrany częstował wódką kilku okolicznych górali [...].

Dama owa była tak przerażona pustą i dziką okolicą oraz prymitywnymi mieszkańcami gór, których zastała w karczmie, że postanowiła wraz z towarzyszami szybko opuścić Luboń: *wyjechaliśmy też jak można było najprędzej, to jest jakeśmy się tylko posilili objadem zgotowanym naprędce z zapasów któreśmy wieźli ze sobą.* W późniejszych latach karczma przeszła w ręce chrześcijańskie, a warunki pobytu zdecydowanie się polepszyły:

Jest tu parę porządných pokoi gościnnych i sklepik, w którym można zaopatrzyć się w cukierki, rodzynki, figi, migdały i inne ingrediencye, dla wiezionych w góry dzieci, wielce powabne; znajdzie się coś w zajeździe i dla starszych, mianowicie dla pań wcale nie zła kawa z świeżem i smacznem ciastem – dla mężczyzn piwniczka nie najgorzej zaopatrzona, bo gospodarz co rok z bliskich Węgier sprowadza wino [...].

Kogo podróż do tej pory nie utrudziła, na nocleg zatrzymywał się dopiero w Zaborni, leżącej na skrzyżowaniu dróg do Rabki i Spytkowic. W tym miejscu stały dwie karczmy, żydowska i chrześcijańska, *po dwóch stronach gościńca rozsiadłe – niby dwie nadgraniczne twierdze,*

dwóch państw nieprzyjaznych, toczące wieczną wojnę o zdobycie nadjeżdżających turystów. Wiele pożytecznych dla turystów informacji o tych zajazdach podawał w przewodniku Walery Eljasz:

W tej tu karczmie są dwa pokoje gościnne, porządnie urządzone, łózek i kanap kilka, ale prosek perski na owady bardzo tu bywa pożyteczny. Dostanie tu kawy, herbaty, mleka, mięsa nawet, ale drogo za to wszystko trzeba płacić [...]. Przeciwnie [...] karczma przychodzi w pomoc, w której świeżo wyporządzono trzy izby, choć nędznie umeblowane, stoją do użytku publicznego. Jest tu także stajnia obszerna.

Podążając do Zakopanego, autor zatrzymał się tu na krótki popas, a odpoczywając i popijając kawę, miał okazję:

[...] studyjowania ciągnących z Szczawnic karawan najrozmaitszego składu i układu; to podreperowani wodami, co potrzebowali kuracyi, to satelici na cienkich nóżkach szukający tam zabaw, to znowu mamy z córami wożonemi dla złowienia konkurentów w miejscach kąpielnych [...]. Jeżeli wozy na resorach, służby pełno, kufrów jeszcze więcej, ubiory dziwaczne, niby podróżne [...]. Uśmiełem się z jakiegoś młodego arlekina, co wysiadł z powozu oszklonego, a cały był zaszyty w długą po kostki suknię wraz z pokryciem głowy i twarzy oprócz oczu i końca nosa [...].

Niezwykle ciepło wspomina nocleg w Zaborni, często zatrzymujący się w niej, Michał Bałucki:

Do najprzyjemniejszych chwil w podróży do gór liczyłem zawsze nocleg w Zaborni. Nocowałem tam zwykle z kilkoma stałymi towarzyszami wycieczek tatrzańskich i każdy nocleg nasz zostawiał zawsze tysiące miłych wspomnień w pamięci [...]. Leżąc pokotem na słomie, gawędziliśmy długo w noc, przeplatając rozmowę figlami i wesołymi konceptami.

Autorowi zapadły szczególnie w pamięć śniadania spożywane w sielankowej atmosferze, jaką potrafili stworzyć gościom tutejsi arendarze:

Kawę piło się zwykle na ganeczku przed karczmą. Biały obrus, chleb z masłem i ciasta, świeże poranne powietrze, zielone łąny zboża [...] oto były przyprawy i zastawa. Do tego karczmarze lubo żydzi, bardzo mili i porządni ludzie [...]. Przy kawie znowu wesoła gawędka i papierosy aż do czasu, w którym woźnice nasi poczęli nas upominać, że już czas jechać [...].

Zdecydowanie niezadowolony natomiast był z noclegu w Zaborni wybitny malarz i stały bywalec Zakopanego, Wojciech Kossak, który uskarżał się na wszechobecne, dokuczliwe insekty: *w maleńkich izdebkach było wprawdzie dużo świętych obrazów na ścianach, dużo poduszek na okropnie krótkich łózkach, ale i pod świętymi obrazami, i pod poduszkami było jeszcze więcej pluskiew, prusaków i pcheł.* Obydwie karczmy nierzadko bywały przepełnione ponad miarę, toteż Eljasz przestrzegał podróżnych, że kto w nich chce nocować niechaj na czas zjeżdża przed wieczorem, by zawodu nie doznał, znalazłszy wszystkie izby w jednej i drugiej karczmie zupełnie zajęte .

Zdarzało się, że goście podążali do Zakopanego bez przerwy dzień i noc, śpiąc na wozie. Taką właśnie podróż wspomina Bałucki:

jechaliśmy noc całą z małymi przestankami, w których konia napoić i napaść potrzeba było. Znużenie skleiło mi powieki, otuliłem się burką, bo chłodny wiatr przeciągał i usnąłem budząc się za każdym silniejszym stuknięciem wozu. Powoli zbliżano się do stolicy Podhala, Nowego Targu, który był ważnym punktem etapowym na drodze do Zakopanego. Tutaj podróżni często spożywali obiad i dokonywali ostatnich, niezbędnych zakupów. Jeden z nich zanotował:

[...] dojeżdżamy do Nowego Targu porządnie utrzęsieni i mocno zgłodniali. Wznosząca się w rynku gospoda [...] przyjmuje nas w otwarte bramy, wózek nasz niknie w ciemnych czeluściach stodoły a my wpadamy prosto do kuchni. Usłudni gospodarze obiecują nam natychmiastowy posiłek i wprowadzają do obszernej sali [...] ugaszczają wcale niezłym obiadem. Dowiedziawszy się o celu naszej podróży, radzą nam zaopatrzyć się w różnego rodzaju wiktuały [...] i przyniosłszy kosz ogromny, pakują doń butelki z winem, sery i wędlinę.

Wypoczęci i suto zaopatrzeni ruszali w dalszą drogę. Za Nowym Targiem kończył się wygodny gościniec, a zaczynał kamienisty trakt pełen wybojów i dziur. Podróż stawała się coraz bardziej uciążliwa i przez ówczesnych turystów była wspominana jako istny „dopust boży”:
jedziemy drogą, która nas do reszty dobiła. Droga niby równa, ale na niej leżą luźno kamienie, tak zwane kocie łby, na których wóz niemiłosiernie skacze i tłucze pasażerami, którzy muszą uważać, aby sobie języka nie przyciąć, no i aby im głowa nie spadła z karku do siana.

Jakby tego było mało wezbrana woda niszczyła mosty, co utrudniało przekraczanie rzeki. Droga na tym odcinku wiodła nierzadko samym jej korytem, co wspomina wielu podróżnych:

Jechaliśmy ciągle brzegami Białego Dunajca [...] z powodu braku mostów niedawną powodzią zniesionych, przeprowiając się kilka razy wbród przez tę rzekę, zjeżdżając w nią jak z pieca na łeb, jadąc nieraz samą rzeką czas długi wśród rwącej wody i ogromnych głazów i gramoląc się znowu na brzeg przeciwległy [...].

Ta niezbyt komfortowa jazda stawała się chwilami wręcz ryzykowną: *przejedziesz dwa doły i jedno błoto, rzeczy ci się sypią przez głowę, masz trochę błota w koszyku z wiktuałami, guza na czole, złamany parasol*. Niewygody ostatniego etapu podróży rekompensowała przepiękna panorama bliskich już Tatr. Zachwycił się nią pisarz Józef Ignacy Kraszewski:

Krajobraz ten z Nowo Targskiej doliny był tak majestatyczny, ogromny, przedstawił się z taką linij uroczystością i blaskiem barw, że niemal religijne jakieś czynił wrażenie: dusza się podnosiła, serce biło, myśl Boża temi szczytami stała rubinowo wypisana na niebiosach, jakby długi wiersz Księgi Objawienia.

Ostatni fragment trasy wyjątkowo się dłużył: *Tatry stoją tuż przed nami, zdaje się że za pół godziny będziemy już wśród nich; a jednak między nami a nimi leży jeszcze trzechmilowa przestrzeń. Jadąc mamy je ciągle przed sobą i ciągle*. Na szczęście coraz bliżej było do rysujących się doskonale gór, coraz bliżej do Zakopanego. Podróźni

mijali Szaflary, w których znajdował się dwór Adama Uznańskiego, właściciela okolicznych dóbr i poprzez Biały Dunajec docierali do Poronina. Tu gościniec rozwidła się, w kierunku wschodnim prowadził do Bukowiny i Morskiego Oka, a w południowym do Zakopanego. Do pokonania pozostawał już tylko niewielki odcinek traktu, wzrastało podniecenie, radość i ciekawość nieznanego:

Tuż za Poroninem po prawej stronie drogi, wznosi się słup z napisem „ZAKOPANE”. Dzieci klaszczą w ręce z radości, że na koniec stanęliśmy u kresu podróży [...]. Przed nami rozsiadł się szczyrbaty Giewont [...]. Na koniec po trzech kwadransach jazdy wynurza się z po za drzew gęstwiny, drewniany kościółek Zakopański.

Nareszcie koniec trudów, koniec podróży. Jesteśmy w Zakopanem!
Jesteśmy w Tatrach!

Krzysztof Pisera

Fragment pochodzi z książki *Jak dawniej chadzano po Tatrach* Krzysztofa Pisery. Pełna wersja tekstu, wraz z przypisami i ilustracjami, znajduje się na stronach wydawnictwa Tatrzańskiego Parku Narodowego.